

# Trzylandowski, Jan

---

## W odpowiedzi - "W sprawie typologii i charakterystyki podstawowych publikacji naukowych", Stanisław Dąbrowski

---

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 25/3, 619-622

---

1980

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Jan Trzynadłowski  
(Wrocław)

## W ODPOWIEDZI STANISŁAWOWI DĄBROWSKIEMU \*

Słyszy się u nas częste i uzasadnione utyskiwania na nikłość działalności recenzyjnej, na brak lub nijakość polemik naukowych, literackich, artystycznych. Z różnych powodów (może wobec mnogości publikacji wszelkiego rodzaju, może w następstwie tego, iż recenzowanie czy polemizowanie to działalność obecnie zdecydowanie uboczna) o wielu książkach albo nic się nie pisze, albo też pisze wyraźnie zdawkowo. Jednakże przy tym od pewnego czasu pełni się recenzencka twórczość zdecydowanie efekciarska; poniektórzy recenzenci czy polemici sami siebie pasują na niepodważalne autorytety, szatkując omawiane prace na wygodne dla siebie cząstki, łącząc urywki z różnych części dzieła, wyrokując, potępiając, gromiąc.

Gdybym powiedział, że jestem wyjątkowym obiektem zainteresowania polemicznej pasji znakomitego znawcy wszystkich chyba dziedzin humanistyki współczesnej, Stanisława Dąbrowskiego (dalej w tej odpowiedzi S. D.), byłbym zarozumiałcem. Bo oto wymieniony polemista od „ustawiania”, spreparował już dorobek teoretyczny S. Skwarczyńskiej, J. Kleinera, R. Ingardena, H. Markiewicza... Wcale dobre towarzystwo! Ostatnio uczynił to z J. Kwiatkowskim, który zamiast przyjąć pouczenie S. D. z wdzięcznością i pokorą, udzielił krytykowi ostrej odprawy, nie szczędząc słów nader surowych („Pamiętnik Literacki” R. 70: 1979 z. 3 s. 405—408).

W stosunku do mego *Edytorstwa*, podobnie jak wobec *Notatek o poezji i krytyce* J. Kwiatkowskiego, S. D. nie ograniczył się bynajmniej do łącznego wystąpienia, lecz zaczął pisać sążniste elaboraty na tematy wybrane i obsyłać nimi poszczególne redakcje. Z różnym oczywiście skutkiem: tu go przyjmą, tam wrzuszą ramionami.

Cechą polemicznych wypowiedzi S. D. są (jak zauważył Kwiatkowski) „pretensjonalne popisy powierzchownej erudycji” oraz „zdumiewające gadulstwo”. Przykład od razu rzuca się w oczy: zamiast napisać po prostu, że nie godzi się z pewnymi twierdzeniami *Edytorstwa* i dlatego daje własne ujęcie, S. D. wypisuje kilkadziesiąt zdań powołując się przy tym na Erazma z Rotterdamu, Abelarda, K. Górskiego, Hampshire’a, Gawrońskiego i naturalnie samego siebie. I po co to? Aby czytelnik zadrzał z podziwu? Przecież on się tylko uśmieje!

---

\* Odpowiedź na recenzję S. Dąbrowskiego zamieszczoną w poprzednim numerze „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki”.

Zazaczyłem na wstępie, że metoda S. D. polega na „kawałkowaniu” omawianej pracy. To prawda, ale tu chodzi o coś więcej: S. D. po prostu przygotowuje recenzowany tekst, gospodarzy nim wedle swego uznania, pomija zwroty dla siebie niewygodne, łączy ujęcia wypowiedziane w różnych miejscach i różnych kontekstach. Taka metoda zniechęca do dyskusji, gdyż nie ma nic wspólnego z nauką. A oto przykład: na wstępie wypowiedzi głosi S. D., iż „J. T. wyraźnie skłonny jest do łączenia kontrowersji z brutalnością i nierzeczowością”. Tymczasem na powołanej str. 59 *Edytorstwa* czytamy: „Kontrowersja naraża na niebezpieczeństwo zlekceważenia podstawowych reguł dyskusji...” Wypowiedź S. D. jest właśnie potwierdzeniem słuszności tego stanowiska.

Żeby jednak dojść do tego wniosku, czytelnik musiałby z ołówkiem w rękę śledzić i polemikę, i analizowany tekst. Ale któryż czytelnik będzie tak postępował? Jeśli przeczyta recenzję (polemikę) jako całość, to już dobrze! Widocznie S. D. liczy na to. Wyjdzie jako znawca i wszystko w porządku. Czy w porządku istotnie?

Gdybym chciał odpowiedzieć na wszystkie zarzuty wysunięte przez S. D., musiałbym napisać tekst znacznie dłuższy od polemicznego. Ale czy byłoby to naukowo opłacalne?

Podam parę kolejnych przykładów w porządku wypowiedzi S. D.

Powołując się na str. 57 *Edytorstwa* S. D. na zestawienie 11 gatunków czasopiśmienniczych ma odpowiedź, iż jest to „zbędny pozór swoistości czasopiśmienniczej”, bo po prostu są to „gatunki prozy naukowej”. Oczywiście, ale czy artykuł, recenzja, kronika, sprawozdanie, notatka nie potrzebują czasopisma dla swego społecznego istnienia?

I dalej. S. D. bez żadnego uprzedzenia czytelnika łączy w swej wypowiedzi dane ze str. 58 i 64 *Edytorstwa*, choć należą one do dwu różnych rozdziałów, do dwu odmiennych punktów widzenia. Na str. 58 użyto przymiotnika „monograficzny” w znaczeniu „całościowy”, „kompleksowy” (mowa o gatunkach czasopiśmienniczych), na str. 64 i in. mowa o monografii jako gatunku samoistnym, o pełnym ujęciu wybranego zagadnienia. Czyżby znowu rację miał J. Kwiatkowski, gdy napisał: S. D. „[...] ma elementarne braki w umiejętności rozumienia i rozumowania na temat cudzych tekstów”?

S. D. z całym spokojem twierdzi, że wbrew poprzednim propozycjom na str. 64 studium i rozprawa potraktowane są łącznie jako „w zasadzie analityczne i cząstkowe w typie ujęcia problemu”. Ależ tam powiedziano coś zupełnie innego! „Studium to rodzaj małej monografii, próba indywidualnej, autorskiej syntezy”, natomiast „rozprawa to ujęcie wyraźnie analityczne...” Po cóż więc te omięcia zniechęcające do dyskusji? Taka metoda budzi przygnębienie. I to jeszcze, że w *Edytorstwie* wyraźnie podkreślono płynność granic gatunkowych niektórych form, szczególnie w praktyce terminologicznej.

S. D. dostrzega ten fakt, ale prześlizguje się nad nim, nic ze swej strony nie proponując. Podobnie ma się sprawa z pojęciem monografii — rozprawy w naukach niehumanistycznych. Widocznie S. D. nie kontaktował się z pozhumanistycznymi pojęciami genologicznymi, skoro wyraża tu zdziwienie. Ale

dłaczego popada w ton mentorski? Przecież nie chodzi tu jedynie o zwięzły „język symboli” (małe i krótkie to nie toż samo).

Polemista z całą świadomością wyrывa poszczególne określenia i konstruuje pozorne sprzeczności dla siebie tylko wiadomych celów. „Całkowity” czy „częstkowy zespół treści naukowych” to przecież nic innego, jak „monograficzne” lub „przyczynkowe” ujęcie zagadnienia w sensie powszechnie przyjętym. Natrząsanie się z tego określenia — to zwykła nielojalność.

Natomiast nieumiejętnością rozumienia cudzych tekstów jest pomawianie *Edytorstwa* o zaliczanie do nauk humanistycznych tylko niektórych działów filozofii! Widocznie S. D. zasnął przy pisaniu swej polemiki, gdyż nic takiego *Edytorstwo* nie zawiera. Chodzi (str. 62) po prostu o to, że inaczej skonstruowana jest monografia z zakresu historii filozofii, inaczej zaś z zakresu np. logiki.

Dywagacja na temat znaczenia przymiotnika „kompletny” (S. D. nie potrafi odróżnić znaczenia etymologicznego od realnego) oraz dołączone do nich komplementy to już sprawa polemicznej kultury znakomitego S. D. Sążniste wywody na temat „konstrukcji zsyntetyzowanych”, tekstu, rymu i rytmu itd., a wszystko naszpikowane epitetami mało zdobiaczymi — są chyba niczym innym jak rezultatem działania złej woli. Polemista poustawiał sobie wyrwane sprawy i określenia w sposób dla siebie dogodny, byle dosłownie za wszelką cenę okazać się mądrzejszym, bardziej przenikliwym, lepiej wiedzącym, Czyżby nie było na to innego, bardziej godziwego sposobu?

Rażącym przykładem nielojalnego stosunku S. D. do analizowanego opracowania jest omówienie problematyki popularyzacyjnej, obejmujące połowę tekstu polemiki. W szczególności sformułowań S. D. wchodzić nie warto z pewnego podstawowego powodu. Rzecz w tym, iż od samego początku tej części polemiki S. D. nie poszedł za tokiem rozumowania przyjętego w *Edytorstwie*. Nie uznał za stosowne wyraźnie rozgraniczyć takie pojęcia, jak „popularyzacja”, „upowszechnienie” i „wdrażanie”, co przecież w dalszej konsekwencji wyraźnie ustawiło na odmiennych pozycjach omawiane formy piśmiennicze (str. 89 i nast.). Co więcej, w *Edytorstwie* w stosunku do popularyzacji — inaczej niż to ma miejsce w kategoriach podręcznikowych — jasno powiedziano, iż „w grupie popularyzatorskiej mieszczą się publikacje przeznaczone [...] dla celów samokształceniowych, tzn. obliczone na swobodny wybór ze strony czytelnika...” (str. 90). S. D. podanych odróżnień nie przyjął do wiadomości; wolno mu to, ale dlaczego twierdzi wszystko z takim apodyktyzmem i pewnością siebie? Skąd S. D. ma tę niezachwianą pewność, że on po prostu WIE? Widać szanowny polemista nie wie o krążących w środowiskach naukowych określeniach „popularyzacji na najwyższym poziomie”, widać nie czytał pracy zbiorowej *Upowszechnianie nauki i zainteresowanie nauką* (pod red. T. Cieślaka i J. Kubima. Wrocław 1971).

Dyskutowanie każdego twierdzenia czy zarzutu w tej części polemiki byłoby wracaniem do tekstu podstawowego, czyli do *Edytorstwa*. Zainteresowany czytelnik sam to potrafi uczynić z własnym komentarzem. Tymczasem u S. D. wszystko podane jest tonem nie znoszącym sprzeciwu, sąd innej osoby, jeśli odmienny, z góry skazany jest na rygorystyczne odrzucenie. No i to wspaniałe słownictwo będące jednym ciągiem — powiedzmy ogólnie —

nietaktów! Wymysły i połajanki nie są chyby czymś, co należy do arsenału uznanych środków dyskusji naukowej.

To właśnie zniechęca dodatkowo — wystawiając smutne świadectwo moralnemu poziomowi niektórych tzw. polemik. Właśnie dlatego na zakończenie warto zacytować wypowiedź prof. A. Zahorskiego na temat stylu pewnych dyskusji („Kultura” z 12 sierpnia 1979): „...pełni się ostatnio godna politowania, źle pojęta pryncypialność dyskusji, których autorzy poszukując poklasku mniej zorientowanych w przedmiocie czytelników, obrzucają się obelgami i dają popisy obrzydliwej brutalności”.